



– I co teraz? – wzruszyłam ramionami, przyglądając się swoim trampkom, tak jakby to właśnie one, w cudowny sposób, miały mi pomóc...

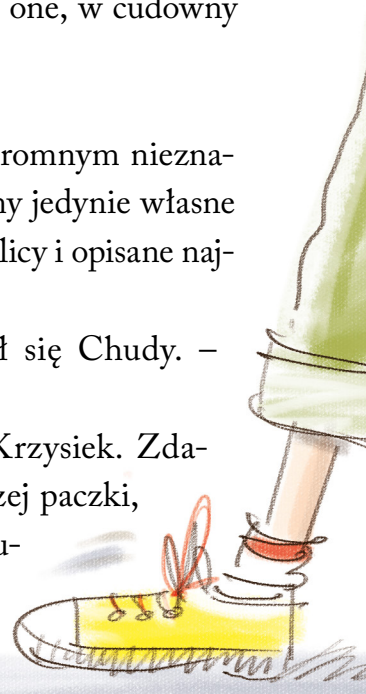
Ale od początku.

Cała nasza paczka znalazła się w ogromnym nieznanym mieście, gdzie za wsparcie mieliśmy jedynie własne doświadczenie, przygotowaną mapę okolicy i opisane najważniejsze punkty miasta.

– Damy radę – pierwszy odezwał się Chudy. – W końcu to miasto królów.

Chudego pamiętacie, prawda? To Krzysiek. Zdaje się, że jest najmądrzejszy z całej naszej paczki, najwyższy, najstarszy, i do tego nosi okulary. Może to właśnie one dodają mu tej niezwykle cennej i poszukiwanej przez wszystkich mądrości?

– Że niby my? Prawie jak królowie? – Wojtek podniósł brwi i przyglądał się koledze.



– Tak! Damy radę – Zuza podchwyciła optymistyczny ton Chudego.

Zuza to moja przyjaciółka ze szkolnej ławki oraz podwórka. Mieszkamy obok siebie, chodzimy do jednej klasy i obie kochamy piłkę nożną. Ma długie rude włosy oraz młodszego brata, który wszędzie nam towarzyszy. Wojtek, zwany również Świętym, pilnuje, abyśmy przestrzegali powszechnie obowiązujących zasad. Na przykład: koniecznie musimy wyrzucać do kosza papierki od gumy do żucia, puste butelki po wodzie i najlepiej zachowując segregację odpadów. Ciągłe również przypomina nam, że na pasach przechodzimy tylko na zielonym, i przechodzimy, a nie przebiegamy... I tak dalej. Czujecie to? Niemal jak oddech policjanta na plecach. Swoją drogą, Święty nie chce zostać piłkarzem,

a zawodowym graczem w Minecrafta, chociaż wydaje mi się, że będzie właśnie policjantem.

Na mnie wołają Kama, ale jak mawia tata, urzędowo zawsze byłam i jestem Kamila.

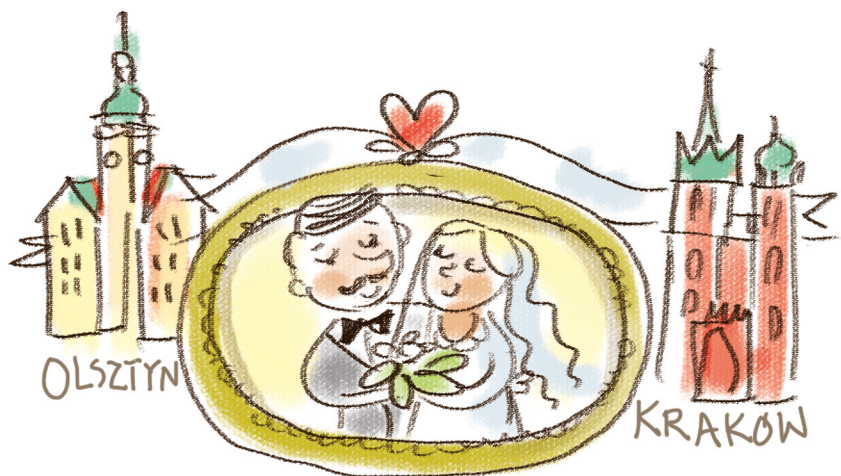
Razem z Zuzą mamy dwadzieścia dwa lata. Tak! Podzielcie to na dwa i bę-



dziecie wiedzieli, w jakim jestem wieku. Mama strasznie nie lubi mówić o swoim. Twierdzi, że kobieta nie powinna go zdradzać i ciągle zapewnia wszystkich, że ma

osiemnaście lat. Tata kiwa z politowaniem głową i dodaje, że osiemnaście owszem, ale razy dwa. Tym sposobem przypomnieliście sobie lekcję matematyki. Wiem, wiem... dopiero jest początek szkoły, a ja już każę wam wysilać szare komórki.

Ale nie o matematyce miało być, ani o szkole, lecz o mieście, w którym się znaleźliśmy dzięki pewnej wygranej. Otóż założyłam się z dziadkiem Jankiem, tatą mamy, że jeżeli na moim świadectwie zagości piątka z historii, zabierze mnie i naszą paczkę do Krakowa. Coś mi się wydaje, że dziadek wiedział, że ten zakład to dla mnie dziecinnie prosta sprawa. Mama od razu skomentowała, że dziadek Janek zrobił to celowo, gdyż bardzo kocha Kraków i po prostu sam chciał tam pojechać. Stworzył więc dobry powód. Dla mnie nie ma to znaczenia. Krakowie, oto jesteśmy!



Dziadek to weterynarz z wykształcenia a jego druga miłość- historia, chociaż właściwie trzecia, gdyż wcześniej na tej liście znajduje się jeszcze babcia. No i Kraków, miasto królów i jego młodości... Ups, bo nie powiedziałam wam wszystkiego. Dziadek urodził się w Krakowie! Wyjechał do Olsztyna, jak mawiał, by zdobyć wykształcenie, a przy okazji zakochał się w mojej babci. Gdzieś słyszałam, że miłość nie wybiera, więc dziadek Janek zamieszkał z babcią w podolsztyńskiej wsi. Tam właśnie, dawno, dawno temu... No dobrze, może nie tak dawno, ale na pewno osiemnaście lat temu swój pokój miała moja mama.

Czas wrócić jednak do Krakowa. Dotarliśmy do niego dziś rano, porannym pociągami, razem z dziadkiem Jankiem i naszą paczką. Planowaliśmy zwiedzić Wawel,

pobiegać wokół Sukiennic,
nakarmić krakowskie
gołębie, posłuchać
hejnału z wieży ma-
riackiej, zaryzykować
i wejść do smoczej jamy, po-
smakować słynnych krakowskich zapiekane-
ków, a wieczorem kielbasek z Nyski.





Planowaliśmy... tak, to odpowiednie słowo. Bowiem nasze plany legły w gruzach. Rozsypały się na miliony kawałków, jak stłuczone lustro. Właśnie staliśmy przed szpitalem i przyznam szczerze, byłam śmiertelnie przerażona. Chyba tylko ja, bo reszta wcale nie przejęła się tym, że dziadek Janek tam trafił, i że zostaliśmy sami.

– Przecież dziadek mówił, że mamy wracać do kamienicy i poprosić jego przyjaciela o pomoc... – Chudy poprawił okulary.

– Przypominam również, że mamy nie dzwonić do babci. – Święty oburzył się tym zakazem. Najchętniej, już w szpitalu, zdradziłby naszą sytuację, i to nie tylko babci. Policji też. Ech te maluchy...

– Tak, wiem– przypomniałam sobie słowa dziadka.

– Bo, jak mawia moja mama, dostanie zawału – do końca Chudy.

– Czyli jedziemy na Kazimierz. – Zuza pomachała naszymi weekendowymi biletami krakowskiej komunikacji miejskiej.

Szczęśliwie zdążył kupić je dziadek, gdy tylko wysiedliśmy z pociągu.

Ale! Pewnie zastanawiacie się, o co chodzi z tym Kazimierzem. Przyznaję, sama również byłam lekko zagubiona. Kazimierz to przecież imię, więc jak można pojechać w takie miejsce? Okazuje się, że to nie tylko imię, a nazwa ta ma szczególne znaczenie w mieście królów i smoka wawelskiego.

Dziś Kazimierzem nazywamy dzielnicę Krakowa, ale nie zawsze tak było. Kiedyś stanowił on osobne miasto. Prawa miejskie nadał mu w tysiąc trzysta trzydziestym piątym roku król Kazimierz Wielki. A nie mówiłam, że to miasto królów? Jak na pewno zauważyliście, nazwa pochodzi właśnie od imienia władcy. Myślę sobie, że bardzo fajnie być takim królem, wymyślać i nadawać nazwy różnym miejscom.

Dziadek opowiadał nam, że w dawnych czasach w Krakowie oraz pobliskim Kazimierzu mieszkało bardzo dużo Żydów. Pewnego dnia zostali oni posądzeni o spowodowanie pożaru w mieście oraz zniszczenie kościoła uniwersyteckiego i wówczas wypędzono ich z Krakowa do Kazimierza.

– A kim są ci Żydzi? – dopytywał Wojtek dziadka Janka podczas długiej podróży do Krakowa.

– Żydzi to naród, tak jak Polacy, Niemcy czy Rosjanie – odparł. – Ich religia nazywa się judaizmem. Żydzi chodzą do kościoła zwanego synagogą, bożnicą czy po prostu domem modlitwy. Modlą się do Boga, którego nazywają Jahwe...

– Trochę to dziwne – wypalił Święty.

– Sam jesteś dziwny – natychmiast zareagowała Zuza.

– I zupełnie nietolerancyjny – dorzucił Krzysiek, poprawiając swoją przydługą grzywkę.

– Nie kłóćcie się. Zaraz dotrzemy na miejsce. Odpocznę, potem pokażę wam Kazimierz, a wieczorem omówimy plan na kolejne dni.

To właśnie wtedy dostrzegłam pierwszy raz, że dziadek źle się poczuł. Powolnym ruchem ręki rozpiął guziki koszuli i ciężko oddychał.

Wieczór minął szybko, zdążyliśmy zobaczyć najbliższą okolicę, ale niestety następnego dnia rano dziadek poczuł się na tyle źle, że musiał odwiedzić lekarza. Pan doktor nie pozwolił dziadkowi wrócić do naszego tymczasowego krakowskiego domu i zostawił go w szpitalu. Przynajmniej do wieczora.

W ten oto sposób znaleźliśmy się pod szpitalnymi drzwiami z wizją niezwykłego Krakowa i przegapienia imprezy urodzinowej przyjaciela dziadka ze szkolnych lat.

Zabawa zaczynała się o siedemnastej i była owiana wielką tajemnicą. Dziadek miał być na niej główną atrakcją wieczoru. Spotkanie po latach...Przygotowaliśmy również wspaniały prezent dla jubilata –kolekcję krakowskich pocztówek, ale nie takich zwyczajnych, dostępnych w każdym kiosku, a naprawdę, naprawdę starych. Bo wiem, przyjaciel dziadka jest kolekcjonerem takich rzeczy. Towłaśnie uniego, w bardzo starej kamienicy w dzielnicy Kazimierz zamieszkaliśmy i do niego kazał nam zwrócić się dziadek Janek.

Plan był dobry. Wręcz genialny. Tylko że żadne z nas nie widziało owego przyjaciela dziadka oraz nie przewidziało tego, co mogło wydarzyć się później. A wydarzyło się bardzo dużo!



ROZDZIAŁ DRUGI,

w którym wracamy
na Kazimierz



Weszliśmy przez bramę na podwórze naszej kamienicy. Tak naprawdę, to nie była ona nasza, ale dla ułatwienia tak ją nazwaliśmy. Skierowaliśmy się w stronę klatki i wdrapaliśmy się drewnianymi schodami na pierwsze piętro.

– Jesteśmy! – krzyknęłam, zdejmując buty.

Właścicielka, pani Lucynka, stała w kuchni. Pomachała nam i pchnęła drzwi, by je przymknąć. Zdążyłam jeszcze zauważyć, że kilka razy poprawiła i tak roztrzepane włosy oraz nerwowo wygładzała przewieszony w pasie, miejscami poplamiony, fartuch. Przez szybę w drzwiach dostrzegłam

sylwetkę drugiej osoby i chyba nie tylko ja, bo przemówił Wojtek.

– Wygląda tak, jakby coś się stało.

– Czyżbyś został wróżką? – zareagowała Zuza.

– Raczej wróżbitą – dodałam, chociaż w sumie, jak dobrze pomyśleć, miałam podobne myśli jak Święty.

Coś się stało. Coś się musiało stać. Zawtórowało w mojej głowie jak echo.

Weszliśmy do pokoju i usiedliśmy na kanapie. Byłam tak mocno zajęta poszukiwaniem odpowiedzi na pytanie, co wydarzyło się w kuchni, że nie dostrzegłam, iż nie ma z nami Chudego. Dopiero po chwili w drzwiach ukazały się okulary i twarz Krzyśka, a może odwrotnie ukazała się twarz Krzyśka z okularami na nosie. Przyłożył palec wskazujący do ust, nakazując, abyśmy zachowywali się cicho, zaś gestem poprosił, abyśmy poszli za nim.

I znowu: coś się stało! Byłam już tego pewna. Na stół! Całą paczką wyszliśmy na wąski przedpokój i niemal bezszelestnie posuwaliśmy się za kolegą. Jak dżdżownica. Pierwszy pierścień do przodu, drugi pierścień

